

żebrak

spojrzałam żebrakowi głęboko w oczy
opowiedziały historię

księga życia jest otwarta
na początku opisuje błędy i niepowodzenia
potem monotonne dni których
celem jest przetrwanie we wrogim świecie

ulice są jak bagno
wciągają i nie pozwalają odejść
nie dają nic
nie obiecują niczego

musi dryfować
na tratwie zbudowanej ze starych kartonów

głośno trąbią mknące samochody
nieprzychylnie mruczą przechodnie
czasami tylko ktoś litościwy
wrzuci do blaszanego pudełka
kilka miedziaków

Wiosna w Budapeszcie

Zielone wzgórza jak szeroki szal,
otulają miasto, które nigdy nie śpi.
Błękitny Dunaj jeszcze pamięta
melodię wiedeńskiego walca
i cygańskie skrzypce grające czardasza.

W lustrze wody przeglądają się pałace
i wielkie secesyjne kamienice,
odbijają się białe wieże parlamentu.
Nadbrzeżne kawiarenki ukryte
w cieniu rozłożystych platanów.
zapraszają na lampkę złotego tokaja.

Wędruję po skwerach, ulicach.
Spoglądam z mostu na Wyspę Małgorzaty.
Widzę w wyobraźni małą, przestraszoną
dziewczynkę,
trzepoczącą pod zakonnym habitem.
Czy płakała? Tego nie napisano w kronikach.

Od tamtego czasu świat się zmienił wiele
razy,
ludzkie uczucia pozostały niezmienione,
Łzy nigdy nie straciły słonego smaku.

Leszek Żuliński

Dardanele

ileż to wody upłynęło w rzece czasu...
płynąłem pod prąd i z prądem. rwący nurt
niósł mnie jak chciał. owszem, próbowałem
dryfować ku brzegowi, ale on zawsze był
stromy.
byłem falą. byłem listkiem. byłem kłodą.
kajakami. tratwą. gondolą.
blaszką, którą wypłut zerwany z żyłki szczupak
i obrośniętą glonami butelką, w której ktoś

zakorkował swoje s.o.s.
w końcu dobijam do brzegu. jestem
wymoczkiem
i starym, głupim osłem

Pan Cogito

siedziałem na dębowej ławie
w berlińskiej Gemäldegalerie
z Panem Cogito, patrzyliśmy
na olej Boscha

piekło nas dotykało

– czuje pan swąd? – zapytałem,
– od pana – odpowiedział

wstał, oddalił się, przepadł mi
w amfiladzie życia

szczęśliwi prości i prostolinijni;
ja siedzę tam dalej i nie wiem,
kórędy do wyjścia.

Nic

zostaną po nas tylko rzeczy

na przykład zydel, solidny, dębowy,
jakiego już nie kupisz w żadnym sklepie

albo zegarek niemodny,
zmatowiały jak czas, który w nim
zasnął

stare pióro, maszynka do golenia,
nóż do rozcinania kopert, jakieś rachunki
dawno zapłacone, kwity

rzeczy martwe i zbędne,
które zapamiętają nas
najlepiej

umrzemy po raz drugi,
kiedy rozpadną się w proch

stołek, zegarek, pióro

ostatni świadekowie,
którzy milczeli jak grób
i rozsypali się
w ciszę.

Izabela Kowalczyk

* * *

Moja mama umiera
w pojednaniu z morfiną i bogiem
zaplątane w kropiówkach jak nieboskie
stworzenia
Ręce co wcierały oliwkę w suchą skórę
dziecka

zaczesywały blade warkocz niezbudujne
loki na bal w sukience uszytej z niczego
z nieziemską cierpliwością
drżące zanurzone we wzruszeniach
błogosławiły na nową drogę życia

dziś chude od jutra jeszcze
bardziej martwe pozostawiły
konfitury które nie ostygły od lata
do śmierci Tylko próg je dzieli nieskończoności

Szukam mojej mamy dobrego snu powrotu
z ciemności szpitalnego łóżka
z nieprzyjacielem w tle który wdarł się
persona non grata
w nerce płucach mózgu
patrzac mi prosto w oczy
zabiera głos w sprawie umierania mojej
mamy

nic już nie mogę
tylko chwilę ukraść maleńką raz jeszcze
by nie zapomnieć

* * *

Nie umierajcie moi bliscy
zimową porą w piątek
i nigdy w poniedziałek
na długi tygodnia początek.

Nie zdążę wypełnić cyframi
cholernie nudnych tabelk
w sobotnią noc karnawału
ubiorę rozpaczy modele.

I jeszcze do tego wszystkiego
zapewniam, że dołów kopanie
w zimowy poranek bez śniegu
wygląda za nadto ospale.

Pomimo setki wódki,
co ma rozgrzać łopaty i szpadle
dosięga metra czterdzieści
z oziębłą żalobą na dzień.

A lzy zamarzają spadając,
serce nie bije miarowo.
Nie umierajcie moi bliscy
choćby przez zimę, chwilowo.

* * *

Anna wróciła
na obiad
w wynajętym m-2

wczoraj
porozwieszała na ścianach
wspomnienia w antyramach

spakowała w walizki
postawiła pod oknem
na jutro

dla dzieci

włożyła
różowe okulary plus 2 i pół
szuka wyjścia
w sytuacji bez wyjścia